

Irving Stone o Jacku Londonie i Martinie Edenie „Żeglarz na koniu”



Przeczytaj opowieść o człowieku niezwykłym. Nieustraszonym, żadnym przygód, we wszystko, do czego tylko się zabrał, wkładającym całe serce i cały swój rozum, chłonącym wiedzę jak gąbka, kochającym ludzi, niesamowicie zdyscyplinowanym – jako pisarz dzień w dzień, choćby się waliło i paliło, zapisywał tysiąc słów, wytrwale zmierzającym do celu, choć w głębi ducha nieśmiałym i niepewnym, przez całe życie zmagającym się ze swoim bękarcim pochodzeniem i topiącym ten kompleks w alkoholu.

Żeglarz na koniu to tytuł, jaki sam Jack London – bo o nim mowa – chciał nadać swej autobiografii, której ostatecznie nigdy nie napisał. Zadania spisania historii życia tego pisarza, żeglarza, włóczęgi i filozofa w jednym podjął się natomiast Irving Stone. Opowieść rozpoczyna się, gdy – krótko po poczęciu Londona – z wielkim hukiem rozpada się związek jego matki, Flory Wellman, kobiety bez wątplenia inteligentnej i żadnej wiedzy, ale i emocjonalnie niezrównoważonej, oraz ojca, W. H. Chaneya, profesora, astrologa, z pochodzenia Irlandczyka, który swego syna nigdy nie poznał. Następnie – lata dzieciństwa spędzone głównie pod opieką ojczyma, Johna Londona, oraz przyrodniej siostry (i jedynej prawdziwej przyjaciółki) Elizy, burzliwa młodość na morzu jako pirat ostrygowy, w pociągach towarowych jako włóczęga i w Klondike jako poszukiwacz złota, ale i w bibliotekach jako zagorzały czytelnik i początkujący pisarz, okres stabilizacji, dwa małżeństwa, ranczo. I wreszcie śmierć, wedle przekonania biografa – i mojego też – samobójcza (o czym świadczą precyzyjnie wcześniej wyliczone i spisane dawki siarczanu morfiny i siarczanu atropiny, które miały zapewnić Londonowi podróż na tamten świat).

Nie ma sensu dokładnie opisywać, co i gdzie London przez całe życie robił – a było tego sporo. Jeśli ktoś będzie zainteresowany, sięgnie do tej lub innej jego biografii i sam się przekona. Skupię się głównie na tym, jaki obraz tego człowieka wyłania się z książki Stone'a. Najpierw mamy budzącego sympatię i podziw młodego chłopca, który mimo braku ojca i oziębłości matki (nie wychodzi mi z głowy scena, w której gdy Jack i Eliza rozgorączkowani i bliscy śmierci leżą w

łóżku, Flora zastanawia się, czy będzie możliwość pochowania ich w jednej trumnie, żeby było taniej) doskonale radzi sobie w życiu, czyta, podróżuje, a do tego okresowo pełni rolę żywiciela rodziny. Następnie na gruncie osobistej biedy oraz setek spotkań z prostymi ludźmi, robotnikami wyzyskiwanymi do granic możliwości wyrasta z niego zagorzały socjalista oraz wyznawca dziwnej światopoglądowej mieszanki Marksa, Nietzschego i Darwina. Zaślepiiony filozofią, która jest tak naprawdę nie do zastosowania w życiu, niszczy życie swojej żony i córek (najpierw – przekonany, że miłość romantyczna nie istnieje, a małżeństwo to związek o charakterze wyłącznie biologicznym – pojmując za żonę kobietę, której nie kocha, a gdy spotyka inną, która budzi w nim miłość i pożądanie, zostawia dla niej rodzinę tłumacząc sobie, że jest nietzscheańskim nadczłowiekiem i mieszczańska moralność nie może go krępować). Wreszcie – właściciel wiejskiej posiadłości, której drzwi zawsze stały otworem dla przybyszy, człowiek niesamowicie otwarty, towarzyski, skory do zabawy, o wielkim, współczującym sercu, gorąco wierzący w ludzi (co niestety niektórzy wykorzystywali).

Dom uważał za święty przybytek, otwarty dla każdego wędrowca, czy to był wielki pan, czy nędzarz; nikogo nie odprawił od progu bez posiłku, napitku, noclegu. Najszczęśliwszy był, kiedy z dwudziestu gości dzielił się za stołem darami bożymi.

Niezależnie od osobistego stosunku do tej postaci na pewno należy się jednak Londonowi podziw za pasję, z jaką żył i tworzył. We wszystkim, co robił, musiał być najlepszy i dokonywał nieraz tytanicznego wysiłku, by to osiągnąć, czy to było żeglarstwo, czy praca jako reporter, pisanie, budowa domu, prowadzenie gospodarstwa, uprawianie ziemi. Jako raczkujący socjalista zgłębiał wszystkie dostępne dzieła o tematyce społecznej, pragnąc zostać pisarzem każdego dnia wyrabiał normę tysiąca napisanych słów i studiował namiętnie podręczniki na temat stylu, gdy został farmerem postanowił za pomocą swych eksperymentów zrewolucjonizować rolnictwo w całych Stanach Zjednoczonych... Mało jest ludzi o tak szerokich zainteresowaniach i wkładających we wszystko, czego się tkną, tak wiele serca.

Irving Stone nie podzielił tej książki na rozdziały tematyczne, jak to często biografowie czynią. To właściwie pół-biografia, pół-powieść. Z początku mi się to podobało, bo nie było zawirowań z chronologią, po pewnym czasie jednak doszłam do wniosku, że całość sprawia wrażenie nieporządnej, zabałaganionej, bez pomysłu, i zabrakło mi klucza, wedle którego poszczególne historyjki z życia Londona byłyby ułożone. Trochę dyscypliny zdecydowanie zadziałałoby na korzyść tej książki. Nieporządek pojawił się także przy podawaniu dat, ram czasowych – często pomijany jest rok, jak gdyby była to informacja oczywista, tymczasem jest sporo fragmentów oderwanych, w których nie było to tak proste do ustalenia. Jak już wcześniej pisałam, nie lubię w biografiiach nagromadzenia szczegółów, ale tu autor chyba przesadził w drugą stronę.

Teraz jeszcze słów kilka na temat autobiografizmu w *Martinie Edenie*, którą to powieść przeczytałam kilka dni temu po raz wtóry i która tym razem awansowała natychmiast do grona moich ulubionych. (Mało która lektura tak mi dała do myślenia i tak wstrząsnęła moim sposobem patrzenia na świat – zakończenie przynosi moment załamania, zwątpienia w sens wszystkich naszych działań, marzeń, planów i osiągnięć). Uderzające jest podobieństwo młodego Londona z biografii Stone'a do Martina Edena, zarówno co do wyglądu, jak i cech charakteru – pewność siebie, determinacja i odwaga podszyte jednak nieśmiałością, pożądanie prawdy, pogarda dla hipokryzji. Fabularnie jest sporo różnic między historią Edena a ojca tej postaci (choć związek z kobietą z wyższych sfer i plany małżeńskie z nią w roli głównej to fakty, wybranka Londona

nazywała się Mabel Applegarth, o niej kilka słów za chwilę), jednakże fragmenty książki Stone'a o tym, jak młody Jack w pocie czoła płodził opowiadania i nowele i z uporem maniaka wysyłał je do kolejnych czasopism, ostatnie pieniądze zamiast na jedzenie wydając na znaczki, tak bardzo przypominają ustępy z *Martina Edena* jak gdyby to były cytaty (i być może nawet nimi były, skoro Stone bardzo luźno podchodził do kwestii oznaczania cytatów, jak głosi informacja od wydawcy).

London poznał Mabel przez jej brata i z miejsca się w niej zakochał, jednak – inaczej niż u Edena – to nie ta miłość zapoczątkowała okres gorączkowego dokształcania się i pisania. Owszem, London z większą niż wcześniej gorliwością zabrał się za tworzenie opowieści po poznaniu Mabel, mając nadzieję w ten sposób okazać się jej godnym, jednak pierwsze jego doświadczenia czytelnicze i próby pisarskie miały miejsce już wcześniej. Powieściowa Ruth miała więc zapewne dla Martina większe znaczenie niż ukochana Londona dla niego. Jednocześnie jednak została przedstawiona – jak można wnioskować na podstawie relacji Stone'a – bardzo niekorzystnie, bardziej niż na to jej kobiecy pierwowzór zasłużył. Biograf zwraca uwagę na rolę matki Mabel w całej sprawie, w rzeczywistości to prawdopodobnie ona udaremniła plany małżeńskie córki, Mabel zaś, z natury pokorna i uległa, stała się ofiarą manipulacji rodzicielki. Powieściowej Ruth usprawiedliwić już nie sposób – to pusta, niezbyt inteligentna i zupełnie niezdolna do samodzielnego myślenia istota. Czyżby prezentując była narzeczoną w tak negatywnym świetle London dawał upust swej goryczy i żalowi względem niej? (A może przesadzam, w końcu to tylko kreacja).

Według Stone'a *Martin Eden* jest o tyle ważną powieścią z dorobku Londona, że można tam znaleźć klucz do tajemnicy śmierci pisarza. Jack napisał kiedyś:

Martin Eden to ja. Martin Eden zginął, bo był indywidualistą, ja żyję, ponieważ jestem socjalistą i mam poczucie więzi społecznej.

Utrata wiary w socjalizm – któremu pisarz poświęcił całe życie – mogła więc w dużym stopniu przyczynić się do decyzji o samobójstwie. Pisarzowi przydarzyłoby się w takim wypadku mniej więcej to samo, co jego bohaterowi, którego poeta Brissenden ostrzegał, że jeśli pozostanie indywidualistą, po osiągnięciu sukcesu nie będzie potrafił się nim cieszyć i utraci sens życia. Czy jednak na pewno London odchodził z poczuciem, że wszystko, co czynił, poszło na marne? Przecież:

Zawsze mówił, że chciałby żyć krótko, ale wesoło. Pragnął zabłysnąć na firmamencie epoki jak biała smuga ognia i pozostawić odbłask swoich myśli w umysłach wszystkich ludzi. (...) Wraz z George'em Sterlingiem zawsze zgadzali się, że nigdy nie będą wiedli nędznej, starczej egzystencji; kiedy zrobią już swoje, kiedy przeżyją własne życie, sami pożegnają się ze światem.
